



Toporzysko było gładkie, a czaszka miękka

2021-02-03

W XX w. Kraków wchłonął wiele podmiejskich wsi. Najpierw czynszowe kamienice, a później betonowe bloki zaczęły wyrastać na dawnych łąkach, polach i ogrodach. Znikały drewniane chaty, zasypywano stawy, wyschły strumienie, a odnogi wszechobecnej Rudawy ukryły się w kanalizacji. Bezlitośnie wyrąbano nadrzeczne zarośla zwane oleandrami. Stare trakty zupełnie zanikły albo stały się lokalnymi, drugorzędnymi ulicami.

Tragiczny los spotkał także podmiejskie, przydrożne karczmy. Po jednych, jak po Pocieszce i Rozrywce, zostały nazwy ulic. Drugie, jak: Kasztelanka, Trzcie, Werbownia, Wydarta albo Zielona, zniknęły bez śladu, a przecież każda z nich miała swoją ciekawą, a czasem nawet niezwykłą historię.

Miodowy interes

Tak było zapewne w przypadku Kasztelanki, karczmy, która ongiś stała w Płaszowie, „za Podgórzem w pobliżu pieca gipsowego”. W 1866 r., kiedy wydarzyła się tam prawdziwa tragedia, karczmę prowadzili małżonkowie Leopold i Lisa Bernsteinowie. Jak powszechnie wiadomo, w karczmach się przede wszystkim piło, jednak Kasztelanka pełniła również dodatkową funkcję. Otóż w części budynku funkcjonowało „przedsiębiorstwo wyrobu miodu”. Jego właścicielami byli dwaj wspólnicy Baruch Joachim Józeftal oraz Szachne Fürer. Obaj starozakonni pochodzili „z Klasna przy Wieliczce”. Klasno, dziś dzielnica Wieliczki, było w tamtych czasach małym żydowskim osiedlem. Na początku jesieni 1866 r. miodowy interes już się rozkręcił, wspólnicy postanowili więc zatrudnić kogoś do pomocy. Wybór padł na Wawrzyńca Stróziką. Nowi chlebobdawcy zapewnili mu dach nad głową, czyli nocleg we wspólnej izbie oraz dniówkę w wysokości 40 krajcarów. Podobno Fürer i Józeftal byli zadowoleni ze swojego pracownika i szybko zaczęli darzyć go zaufaniem. W niedzielę rano o godzinie ósmej Bernsteinowa chciała, jak miała w zwyczaju, zanieść Fürerowi kubek kawy. Jednak drzwi do „miodosytńi” były zamknięte. Uznała więc, że „fabrykanci miodu” śpią zmęczeni po nocnej pracy. Godzinę później wrócił z Klasna Józeftal. Zastał jednak drzwi zamknięte. Ponieważ nie mógł więc wejść do miodosytńi, zaniepokojony wyważył drzwi i wtedy – jak pisał niezawodny „Czas” – „najokropniejszy mu się przedstawia widok (...) Fürer zamordowany z roztrzaskaną czaszką leżał w kałuży krwi tuż przy łóżku swoim, twarzą ku ziemi zwrócony, bosi w spodniach i kamizelce, przykryty siennikiem krwią przesiąkłym, pod trupem toporzysko krwią zbroczone, w całej izbie, gdzie tylko wzrok swój rzucił, wszędzie ślady krwi”.

Premedytacja czy obrona własna?

W izbie nie było Stróziką. Józeftal zawołał Bernsteinów, a sam pobiegł do Podgórza, aby zawiadomić władzę o zbrodni popełnionej w Kasztelance. Wkrótce na miejscu zjawiała się komisja wysłana przez podgórski sąd powiatowy, złożona z sędziego Smolara, lekarza sądowego oraz pisarza. W sporządzonym na miejscu protokole stwierdzono, że „zabitemu zabrano wszystkie jego suknie i inne rzeczy”.

Policja nie musiała się jednak specjalnie trudzić, gdyż w kilka dni po odkryciu zbrodni Wawrzyniec



Strózik sam zgłosił się do sądu powiatowego w Niepołomicach. Można podejrzewać, że po szoku, jakim nawet dla weterana spod Solferino musiało być zabicie człowieka, uznał, że lepiej samemu oddać się w ręce sprawiedliwości. Taki gest bowiem w jakiś stopniu uwiarygodniał przedstawioną przez Strózika wersję wydarzeń. Zaprezentował ją podczas rozprawy, która rozpoczęła się 14 maja 1867 roku.

Według Strózika nieszczęście spowodował Fürer, a wszystko stało się podczas ich wspólnej pracy. Otóż w pewnym momencie oskarżony chciał napić się miodu. Fürer nie tylko nie pozwolił na to, ale nawet uderzył swojego pracownika w twarz. Strózik zeznawał, „że rozjątrzony z tego powodu odepchnął Fürera od siebie, tak, że się przewrócił i upadł na krawędź łóżka”, ten podniósł się jednak i chciał zaatakować. Strózik, jak twierdził, zadał mu więc kilka ciosów toporzyskiem, które przypadkowo miał wtedy w ręku. Kiedy zorientował się, że jego pracodawca nie żyje, „przywłaszczył sobie zegarek, pularesy, surdut i inne rzeczy z odemkniętego poprzednio kuferka”. Było to więc przypadkowe zabójstwo i właściwie przypadkowa, spontaniczna kradzież.

Sądowe wątpliwości

Zeznania świadków oraz opinie biegłych nie potwierdzały jednak takiej wersji zdarzenia. Świadkowie, czyli Joachim Józeftal, małżonkowie Bernsteinowie i służąca Marianna Slósarkówna zgodnie twierdzili, że denat był bardzo silnym mężczyzną. Na pytanie sądu: „Czy to prawdopodobne, że się szamotali ze sobą?”, świadek Leopold Bernstein stwierdził: „Nie; on go musiał na łóżku i to śpiącego uderzyć, bo gdyby nawet był leżał, a nie spał – wtedy nie dałby się Strózikowi, bo Fürer był to tak silny chłop, że mógłby takich trzech jak on złamać. Złakomił się zapewne na pieniądze, to go we śnie zamordował”. Gdy prokurator zadał pytanie: „Jakoś trzymał to toporzysko w chwili, kiedyś bił zmarłego?”, oskarżony odrzekł: „Tak prawą ręką w środku”. Sąd jednak nie dał temu wiary. Przewodniczący sądowi sędziowskiemu radca Michał Fiałkiewicz stwierdził: „To niepodobna, abyś mógł jedną ręką takie rany zadawać; pokazuje się, że z wielką siłą padały ciosy, bo czaszka zupełnie pęknięta.” Na ten zarzut Strózik odpowiedział: „Można było, bo toporzysko gładkie, a czaszka miękka”.

Po długiej, blisko godzinnej naradzie sąd ogłosił wyrok. Wawrzyniec Strózik został uznany za winnego zbrodni morderstwa rozbójniczego i skazany na karę śmierci przez powieszenie. Jak pisał „Czas”: „motywa wyroku sądowego są w zupełności zgodne” z wnioskiem oskarżyciela. Skazany po wysłuchaniu wyroku oświadczył: „Chciałbym do Cesarza prośbę podać, aby mi przynajmniej życie darował”.